



GDYBYM
GO TERAZ
POZNAŁA...



Anna Dymna w obiektywie
męża Wiesława Dymnego



Fotograficzny autoportret
Wiesława Dymnego

**Kolorowy ptak.
Awanturник, który pił i bił.
Wokół Wiesława Dymnego, założyciela Piwnicy
pod Baranami, narosło wiele legend.**

Ale **Anna Dymna**, jego żona, mówi,
że artysta nosił maskę, za którą krył się wrażliwy i samotny
chłopak: „Wiesiek miał charakter wolnego ptaka, a wtedy
nie było gdzie latać”.

ROZMAWIA IGA NYC



1. Anna Dymna w obiektywie męża;
 2. Kadr z filmu „Rancho Texas” Wadima Berestowskiego, w którym Wiesław Dymny wcielił się w postać Góralczyka, 1958;
 3. Anna i Wiesław, 10 października 1972 r.;
 4. Ze Zdzisławem Maklakiewiczem na planie filmu „Słońce wschodzi raz na dzień” Henryka Kluby, do którego napisał scenariusz i słowa piosenek, 1967;
 5. i 9. Zdjęcia Wiesława Dymnego z 1958 r.;
 6. Anna Dymna na wernisażu fotografii „Dymny piwniczny” w Piwnicy pod Baranami – obok zdjęcie jej pierwszego męża, Dymnalia 1998; 7. Film „Przeprowadzka” Jerzego Gruzy, w którym zagrał tragarza, 1972;
 8. Wiesław Dymny i Krzysztof Litwin w Piwnicy pod Baranami, Kraków 1963;
 10. Anna, Wiesław i ich kocica Kasica, lata 70.



PANI: Do księgarń trafi niebawem biografia „Dymny. Życie z diabłami i aniołami” autorstwa Moniki Wąs. A przecież od lat to Pani pracuje nad książką o swoim pierwszym mężu...

ANNA DYMNA: Mam problem z tą moją książką, ponieważ nastąpiły czasy, kiedy trudno jest mówić o miłości. Jeśli opowiem szczerze o rzeczach dla mnie ważnych i często bolesnych, muszę sobie zdawać sprawę z tego, że to zostanie przez różnych ludzi skomentowane. Być może oplute, wymemlane i obśmiane. Dymny interesuje ludzi dlatego, że był legendarną, kontrowersyjną postacią: tu pił, tam ktoś jego albo on kogoś pobił. Liczą się sensacje, ekscesy. Wszyscy zawsze pytają o śmierć Dymnego: jak to się stało, że on umarł, i czy to prawda, że na początku znajomości mi przyłożył. A to nie ma tak naprawdę żadnego znaczenia. Natomiast to, co było wartościowe, mało kogo obchodzi. A moje życie z Dymnym to skarb, który cały czas noszę w sobie. I który daje mi siłę. Czy warto to poddawać publicznej ocenie? Rzucać ludziom dla rozrywki?

Wiesław Dymny to wyjątkowy człowiek, więc może jednak warto.

Wiem, że mu się książka ode mnie należy. Długo zastanawiałam się, dla kogo mam ją napisać. I doszłam do wniosku, że największą wartość może mieć dla tych, którzy kogoś stracili. A teraz muszą z tym dalej żyć. Nauczyć się, jak ból i cierpienie przekuć w siłę. Mnie się ta sztuka udało, choć to trudny proces. Kiedyś Dymny umówił się ze mną: „Aniczka, zmieniasz nazwisko i teraz będziemy na nie pracowali razem. Raz ja, raz ty”. Wciąż realizuję to zobowiązanie. I kiedy mam dylemat, zastanawiam się, co Wiesiek by powiedział. Mam nadzieję, że jak się kiedyś gdzieś spotkamy, to nie kopnie mnie rozczarowany (śmiech). To zdumiewające, że czas biegnie, a on dalej jest w moim życiu obecny. Niekiedy ktoś pyta: „Jak ty możesz mówić o Dymnym, skoro od ćwierć wieku masz innego mężczyznę?”. Ale przecież mój Krzysztof wie, że gdyby nie Wiesiek, to dziś nie byłoby mnie takiej, jaka jestem.

O czym więc chce Pani napisać?

Chronologiczne przedstawianie zdarzeń z naszego życia nie miało by sensu, nie chcę bawić się w kronikarza. Zresztą Znak właśnie teraz wydaje taką biograficzną książkę. Moja będzie opowieścią o pewnym spotkaniu. Impresje, skrawki pamięci... Trzy miesiące przed śmiercią Dymnego spaliło się całe nasze mieszkanie. Większość jego rysunków i rzeczy, które pisał, uległo całkowitemu zniszczeniu. Powiedział wtedy: „Aniczka, to nic nie szkodzi, zrobimy remont, stworzymy od podstaw nowy dom”. Bo Wiesiu w ogóle nie szanował tego, co tworzył. Być może dlatego, że zdawał sobie sprawę z tego, że większość nie ujrzy nigdy światła dziennego. Często

słyszał: „No, bardzo to dobre, ale niech pan lepiej napisze o budowie Portu Północnego lub Huty Katowice”. Gdy umarł, zaczęłam zbierać wszystko, czego nie zniszczył doszczętnie pożar. Pod gruzami znalazłam kosz pełen obrazków, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Schowałam te wszystkie znaleziska do skrzyni, która teraz stoi w moim mieszkaniu. I moja książka będzie jak ta skrzynia – mieszanką rysunków, tekścików, listów.

Co jest w tych listach?

Mam na przykład korespondencję z 1976 r., kiedy Wiesiek był internowany. A właściwie przebywał w obozie szkoleniowym, bo tak się to wtedy nazywało. Jego listy w piękny i prosty sposób pokazują grozę tamtych czasów, piekło, w którym żyliśmy, nawet tego nie zauważając – są jak pisane przez dziecko, które obserwuje, jak ktoś zbeczczeł mundur, a ono tak wierzyło w tego orzelka na czapce, choć chwilowo bez korony. Mam też listy z okresu, kiedy się poznaliśmy. Pełne miłości. Takie, które każda kobieta chciałaby dostać od mężczyzny. Potem Dymny nie pisał już do mnie zbyt często, bo prawie nigdy się nie rozstawaliśmy. Jeśli pracowałam na planie poza Krakowem, on jechał za mną.

Nie znosił nieróbstwa i był w ciągłym ruchu. W liście do Pani pisał: „Człowiek nie może być i być beczynnym. Wtedy mózg rozładnia się, ciało puchnie i flaczeje, a w oczodołach zagnieżdżają się parszywe ropuchy”.

Pochodzę z domu, w którym nie było pieniędzy, więc wszystko robiło się samemu. Tato skonstruował pralkę, odkurzacz, piekarnik. Ta pralka co prawda „łaziła” po kuchni, jak wirowała, a piekarnik trochę kopał prądem, ale wszystko było własne. Z kolei mama robiła świetne przetwory i to ona nauczyła mnie gotować. Od jedenastego roku życia umiałam lepić pierogi i robić kluski. A potem, jak zostałam żoną Dymnego, to znowu wpadłam w ręce kogoś, kto wszystko chciał robić sam. Szyliśmy z Wiesiem futra, skórzane kamizelki i różne piękne kreacje. Ale beczelny był, bo zaczynał różne rzeczy, a potem mi oddawał, mówiąc: „A kołnierzyk i rękawki to już sama

sobie wszyj” (śmiech). Wszystkie meble, które stały w naszym mieszkaniu, też my zrobiliśmy. On był od konstrukcji, ja od obrabiania: bejcowania, malowania, szlifowania. W naszym przedpokoju stał stół stolarski i do reszty mieszkania trzeba się było przedostawać wąską ścieżką między wiórami.

Kiedyś oświadczyła Pani mężowi, że jak już zostanie znaną aktorką, to jej noga więcej w kuchni nie postanie.

(śmiech) Był słoneczny dzień, szliśmy ulicą Karmelicką i mieliśmy wstąpić do sklepu „1001 drobiazgów”, żeby kupić sitko. Coś mnie wtedy naszło, postanowiłam sprowokować Dymnego i powiedziałam: →



Dymni ok. 1972 r.

Dziś
trudno mówić
o miłości. Wiem,
że zostanie to
skomentowane.
Być może oplute
i obśmiane.

„Wiesiu, jeśli kiedyś będę zarabiała dużo pieniędzy, to nie będę gotować, tylko będę chodziła do restauracji”. Jego zamurowało, zrobił się błąd i wrzasnął: „Co? Taką gwiazdą będziesz? Lepszą od innych? Sama masz wszystko robić! Sracz przetykać, jak się zatka, też! Zabiję cię, jak będziesz gwiazdą!”. Stał na tej Karmelickiej i krzyczał. Ja się śmiałam, a ludzie oglądali się zdziwieni,



Z lewej: Kraków 1969;
poniżej: Dymny w Piwnicy
pod Baranami, 1971



co ten pan na tą panią tak wrzeszczy. Oczywiście, nigdy w życiu nie gwiazdorzyłam, bo po pierwsze, Dymny by mnie zabił, a po drugie, nie mam takiego charakteru. Zawsze zawstydzano mnie jakiegokolwiek zamieszanie wokół mojej osoby. Szczególnie jak byłam młodą dziewczyną. Te wszystkie męskie propozycje... Jaka ja byłam wtedy biedna! Na szczęście szybko poznałam Dymnego i on był moją tarczą. Zabiłby każdego, kto by się do mnie za bardzo zbliżył.

Kazimierz Kutz wspomina, że mąż był o Panią chorobliwie zazdrosny. Ponoć nie można było nawet na Panią spojrzeć...

Nie byłam tego świadoma, chociaż ponoć byliśmy śmieszna parą. On był ode mnie o piętnaście lat starszy, a ja wyglądałam jak dziecko. I tak chodziliśmy sobie razem po Krakowie, nierozłączni. A potem jeździliśmy, bo pewien ubek chodził za nami krok w krok, więc kupiliśmy sobie rowery. On oczywiście też wtedy nabył dwa kółka i nie udało się nam go pozbyć (śmiech).

Kiedy pierwszy raz spotkała Pani Dymnego?

Podczas zdjęć do „150 na godzinę” Wandy Jakubowskiej. To był mój debiut filmowy. W pewnym momencie na planie pojawił się dziwny mały facet, jakiś taki spuchnięty, który napisał dialogi do jednej ze scen. Jakubowska powiedziała mi, że to Dymny z Krakowa. Słyszałam o nim wcześniej, chociaż nie chodziłam do Piwnicy pod Baranami. Przypomniłam sobie też, że już tego mężczyznę widziałam. Byłam na spotkaniu z Hanuszkiewiczem w Klubie pod Jaszczurami, na którym pewien wesoły człowiek zaczął wykrzykiwać okropnie śmieszne rzeczy. I to był Dymny. Nasze drugie spotkanie nastąpiło przy „5 i 1/2 bladego Józka” Henryka Kluby, w którym zagrałam główną rolę – Katarzynę, szefową gangu motocyklowego. Wiesiek był scenarzystą.

To nie była miłość od pierwszego wejrzenia.

Chyba tak. Prawdę mówiąc, trudno coś takiego nazwać. Byłam wtedy wstydlivym, nieśmiałym, grzecznym dzieckiem, które nie tykało alkoholu, a słowo na „k” traktowało jako coś niewyobrażalnego (śmiech). W pewien zimowy weekend była przerwa w zdjęciach i prawie cała ekipa filmowa rozjechała się do domów. Nie miałam połączenia do Krakowa i zostałam dłużej w pałacyku w Łącku pod Płockiem. Dymny też został i razem z Jerzym Cnotą zaczęli grać za drzwiami mojego

**Czas
biegnie, a on
dalej jest
w moim życiu
obecny.
Ale przecież mój mąż
wie, że gdyby nie
Wiesiek, to dziś nie
byłoby mnie takiej,
jaka jestem.**

pokoju w ping-ponga, popijając wódeczkę. Żle się tego wieczoru czułam, więc wyszłam i zapytałam, czy mogą przestać i siedzieć cicho. Wywiązała się awantura, Dymny strasznie narozrabiał. Następnego dnia pojechałam na spektakl do Krakowa, a gdy wracałam na plan, miałam przesiadkę w Kutnie i tam na dworcu stał jakiś człowiek w szarym kożusku, trzymając bukiet goździków, trochę przemarzniętych. To był Wiesiu.

Zawstydzony wyjął słowo „przepraszam”, wręczył kwiaty i tylko uściśnął mi rękę. Odruchowo pocałowałam go w policzek. I to był chyba ten moment. Przestał wtedy pić i codziennie rano znajdowałam pod drzwiami jakiś prezent. A to coś wyrzeźbił specjalnie dla mnie, a to kamysek znalazł, innym razem czekoladkę położył. Godzinami spacerowaliśmy brzegiem Wisły w Płocku i rozmawialiśmy. Potem już się nie rozstaliśmy.

Dymny miał wtedy żonę, Teresę.

Wiesiu nigdy nie opowiadał mi o swoim prywatnym życiu. Powiedział, że ma żonę, że się z nią rozwodzi, ale że bym o to nie pytała, bo to nie ma ze mną nic wspólnego. Poznałam zresztą wcześniej Teresę, bo kiedy spotkał się podczas kręcenia „150 na godzinę”, poprosił mnie o przysługę: że bym pojechała do niego

do domu, do żony, i rękawiczki mu przywiozła. Ale wtedy jeszcze nie nas nie łączyło.

Kraków to konserwatywne miasto. Środowisko aktorskie nie było oburzone Waszym związkiem?

Do moich rodziców przychodziły anonimy, że to alkoholik, że awanturnik i szkoda dziecka. Mama zapytała mnie wtedy: „Ty go kochasz?”. „Kocham”, odpowiedziałam. I ona stwierdziła, że tylko to się liczy. Tata dodał, że jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. To był koniec rozmowy. Plotek żadnych nie słuchałam. Grałam w teatrze, chodziłam do szkoły, robiłam dyplom, miałam swój świat. Uważam, że jak się czyni komuś krzywdę i rozbija udane małżeństwo, to można czuć się strasznie. Ale ja się tak nie czułam, bo życie prywatne Dymnego już od jakiegoś czasu się wypalało. Ja sobie byłam obok i na nic nie naciskałam. Wiesiu powtarzał mi zresztą: „Aniu, zapamiętaj na całe życie, że jeżeli uda ci się być dobrą aktorką i staniesz się znana, to będziesz o sobie słuchała wiele niestworzonych rzeczy. Ludzie będą wymyślali różne historie, ale ty nigdy tego nie komentuj”. Ze strony środowiska aktorskiego żadna przykrość mnie nigdy nie spotkała. W Piwnicy pod Baranami miałam potem wielu przyjaciół.

Dymny pisał: „Piwnica jest dla mnie jak papieros, jak narkotyki. Muszę tam pójść, chociaż wiem, że jedno wyjście może mi zająć cały tydzień”.

To miejsce było jego radością. Ale czasem mówił, że nie będzie już tam chodził. Tłumaczył mi wtedy: „Aniczka, nigdy nie wierz w to, że jak się napijesz, to coś sensownego możesz zrobić, że to pomaga w tworzeniu. Ja nigdy w życiu po pijanemu nie napisałem niczego wartościowego. A wiem, że jak pójdę do Piwnicy, to zacznę pić”. I rzeczywiście, jak tam nie chodził, to nie sięgał po alkohol. Czasem był trzeźwy nawet przez kilka miesięcy. W Piwnicy każdy pytał: „Wiesz, wychylił z mną kieliszek?”. Nawet jak mnie odprowadzał do teatru i wracał potem do domu linią AB (między ulicami Sławkowską a Floriańską – red.), to dziesięciu facetów proponowało, żeby poszedł z nimi na wódkę. Ale zawsze, nieważne – trzeźwy czy pijany, czekał na mnie przed teatrem, gdy kończyłam spektakl. Koleżanki bardzo mi tego zazdrościły.

Życie z Dymnym było trudne?

Trudne, gdy pił. Ale czasem myślę, że ja na jego miejscu być może też bym nie wytrzymała. Artyście o jego wrażliwości trudno było przetrwać. Musiał oblec się w jakąś skorupę, opancerzyć, żeby przejść przez ogień tamtych czasów i aby go nie spaliło od razu.

Miał charakter wolnego ptaka, a wtedy nie było gdzie latać. Życie z nim było ciągłym balansowaniem nad przepaścią. Na początku małżeństwa myślałam, że nie dam rady, ale potem zrozumiałam, że nieważne, co będzie się działo, bo i tak warto. Bo trzy dni z Dymnym trzeźwym rekompensowały mi cały miesiąc, kiedy gdzieś zniknął i musiałam go szukać. Piwnica była jego oazą wolności. Chociaż ubeków, którzy przychodzili podsłuchiwać nasze rozmowy, też tam nie brakowało. Potem brali Wiesia na przesłuchania albo zabierali mu zeszyty, w których ciągle coś pisał, i szukali treści antypaństwowych. Czasem, kiedy wracałam z teatru, znajdowałam go pobitego pod drzwiami. Patrząc na niego i jego obrażenia, potrafiłam stwierdzić, czy był go fachowiec, czy ktoś przypadkowy. Fachowcy bili inaczej.

Mimo to lubił drażnić władzę. Kiedyś, w latach 60., włożył swój szary kozuch, na głowę wcisnął poniemiecki hełm i wmiszał się w tłum milicjantów, którzy zostali przysłani do stłumienia studenckich protestów. Jeden z nich go rozpoznał i syknął: „Panie Dymny, sp...aj pan stąd, bo pana zabiją!”.

Bo Wiesio był prowokatorem. Pamiętam, jak staliśmy w kolejce, poszedł do nas taki jeden i pyta: „Pan tu stoi?”. A on na to: „Nie, ja tu kucam”. I kucnął. No i była awantura. Ciekawe, jak by się Dymny odnalazł w dzisiejszych czasach... Dziwne, ale wszystko, co wtedy pisał, jest wciąż aktualne. I pewne rzeczy by mu się teraz bardzo podobały. Na pewno byłby szczęśliwy, gdyby się przeszedł ulicami Krakowa. W dniu, w którym dostawałam wyplatę, chodziliśmy do

restauracji Wierzyńska, siadaliśmy przy stoliku i przepuszczaliśmy tam ze 100 złotych. Jedliśmy śledzie, czasami wypijaliśmy pięćdziesiątkę wódki – to była jedyna okazja, przy której piłam – i patrzyliśmy na Rynek. Dymny mówił: „Aniczka, kiedyś nastaną takie czasy, że tu będzie kawiarnia, tam restauracja, a w jeszcze innym miejscu klub jazzowy”. I tak rzeczywiście się stało. Potem szliśmy do sklepu i za resztę pensji kupowaliśmy jakieś deski, farby, gwoździe i inne narzędzia do wykańczania mieszkania oraz ryby dla kota w dużej ilości, które ładowały w zamrażalniku. I już nic nam z tej mojej pensji nie zostawało. Potem, jak nie mieliśmy co jeść, to te ryby kotu podkradaliśmy (śmiech).

Joanna Olczak-Ronikier twierdzi, że gdy Dymny przyjechał do Krakowa, to nie pasował do przesiąkniętej hipokryzją bohemy.

Bo on był do bólu uczciwym człowiekiem. Nie kombinował, nie robił niczego tylko dlatego, że to się opłacało. Jego ukochaną książką był Stary Testament. Wspólnie przeczytaliśmy cały i do dziś mam jego Biblię, która jest pokreślona i ma pozakładane strony. W jego twórczości było zresztą coś ludowo-biblijnego, on pisał przypowieści

o człowieku. Kochał przyrodę i zwierzęta. I miał mnóstwo szacunku dla ludzi starszych. Matka była dla niego świętością. Dosłownie nosił ją na rękach, a że była taką kuleczką, to mówił o niej: „Moja Wielka Niedźwiedzica w kropki”, bo miała kiedyś nocną koszulę w kropki właśnie. Bardzo się kochali i to ona nauczyła go tych wszystkich prostych wartości. Dymny był czystym człowiekiem, jak dziecko. Niektórzy ludzie, znający go tylko z wierzchu, mówili, że to dziki bandyta... no bo on do nich czasem wychodził już najeżony. Ale w środku był wrażliwym, delikatnym chłopcem. Gdy było mu źle, to mówił do mnie: „Mamuśku, ratuj mnie”, i tym mnie rozczulał. Pamiętam, jak przywoziłam mu ze Stanów, gdzie kręciłam film „Kochaj albo rzuć” Sylwestra Chęcińskiego, całą walizkę prezentów: bawelniane

koszule, dzinsowy garnitur i jakieś narzędzia. Kiedy otworzył tę walizkę, zbladł jak trup, zbieleły mu źrenice i nie odzywał się do mnie przez kilka godzin. Nie wiedziałam, co się stało, a on po prostu tak się wzruszył, że nie był w stanie ze mną rozmawiać. A jak potem włożył ten dzinsowy garniturek, to chodził w nim przez kilka miesięcy i nie chciał zdjąć. Nie spotkałam już nigdy więcej takiego człowieka. I czasem się zastanawiam, czy gdybym teraz go poznała, to czy bym potrafiła z nim być. Nie mam już tyle sił, co wtedy. Ale życie z Dymnym było fascynujące. To był człowiek, który swoimi rękami kształtował rzeczywistość wokół, wszystkiego chciał dotknąć. Z nim nie dało się stać w miejscu. A ja po prostu go kochałam i biegłam obok niego i razem z nim. ■

**Dymny
umówił się ze
mną: „Aniczka,
zmieniasz nazwisko
i teraz będziemy na
nie razem pracowali.
Raz ja, raz ty”.
Wciąż realizuję
to zobowiązanie.**

ANNA DYMNA – z domu Dziadyk, aktorka filmowa i teatralna, założycielka fundacji Mimo Wszystko. Zagrała m.in. w takich filmach, jak: „Nie ma mocnych” Sylwestra Chęcińskiego, „Duże zwierzę” Jerzego Stuhrta, „Skazany na bluesa” Jana Kidawy-Błońskiego, serialu „Królowa Bona”, a ostatnio w „Excentrykach...” Janusza Majewskiego. Występuje na deskach Narodowego Starego Teatru w Krakowie i wyklada w krakowskiej PWST. Wiesław Dymny był jej pierwszym mężem, a z małżeństwa ze Zbigniewem Szotem ma syna Michała. Od wielu lat związana jest z reżyserem Krzysztofem Orzechowskim. Ma 64 lata.